

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 24 lipca 1909 r.

Nr 30.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

19

Powieść historyczna.

Nareszcie zegar wydzwonił dziewiątą godzinę, nareszcie w sali jadalnej zachrobotał głos bakałarza, strofującego chichoczącą dziatwę, nareszcie kredencierz zwrócił swe ociężałe kroki w stronę komnatki Juliusza, aby go do śniadania przywołać... Chociaż nie — zapomniał widocznie, bo nie zboczył, jeno idzie wprost, nadchodzi ku niej..

Pani Gruzewska postąpiła kilka kroków i, nim kredencierz zapukać zdążył, stanęła przed nim uprzedziła zapowiedź.

— Śniadanie?... Idę. Ale zapomniałeś o panu Juliuszu!

Kredencierz głowę wtulił w ramiona i wyjąkał z trudem:

— Panicz wyjechał.

Pani Gruzewska rozwarła szeroko oczy.

— Pan Juliusz?

— Tak, dziś nad ranem.

— Do Wilna? W okolice? Na folwarki?

Kredencierz strzepnął bezradnie rękoma.

— Nie wiadomo... samotrzeć, wierzchem.

Pani Gruzewska odetchnęła domysłem, że Juliusz na jakąś wycieczkę niedaleką się wybrał. Lecz ten domysł pogodny trwał krótko. Szczegóły, dotyczące nagłego wy-

jazdu Juliusza, nic dobrego nie wróżyły.

Juliusz aż do drugiego kura rozmawiał w swej komnacie z Jawtokiem, poczem wyprowadził sam komisarza za bramę i bodaj czy nie był u Rydwina, choć to nie pewne. Gospodyni klęła się, iż, idąc do udoju, widziała, jak Juliusz od rezydenta wychodził; stojka zaś nocny upierał się, że Juliusz pożegnał się z komisarzem jeszcze przed bramą i wrócił do dwora. Tak czy owak, dość, że zaraz po zasypaniu koniom obroków Juliusz zjawił się w stajni. Tam bułaną osiodłał, sam namierzył sobie owsa do sakw, zaśmiał się łaskawie do skonfundowanych obecnością panicza forysiów, kożuszką obciągnął, rękawice nałożył, zaczęł, jak stał w zagrodzie, wskoczył na koń, krzyknął: „z Bogiem, chłopcy!” i chlusnął we wrota tak gwałtownie, że dziw, iż głową w przecznicę nie uderzył.

Z tych opowiadań wynikało, że jeden Jawtok mógł coś wiedzieć o nagłej wyprawie Juliusza. Posłano więc poń do miasteczka, ale stąd niebawem nadeszła odpowiedź, że pani komisarzyna od dwóch miesięcy męża nie oglądała, że co dnia go się spodziewa... Za tą zaś nowiną nadeszła inna. Geometra

był w Kielmach, w karczmie się zatrzymał, do dwora poszedł, wrócił nad ranem, tłumaczył karczmarzowi, że pilna komisya zniewala go do natychmiastowego odjazdu, więc po nocy nie chce gwałtu żonie przyczyniać; dalej prawil dobrych czasów, wreszcie piwa grzanego wypil, i gdy się rozwidniło, odjechał.

Może, może komisarz ruszył razem z Juliuszem? Nie podobna. Jawtok skreślił, jakby na Użwentę, a młodego dziedzica widziano na drodze do Bejsagoły.

W ten zamęt niezrozumiałych wieści padł list Juliusza, [pozostawiony na sepeciku. List do matki, przepraszający ją za odjazd bez pożegnania, mówiący zagmatwanie o wielkich sprawach, które go do podróży niewołą, a zakończony wyraźnem lekceważeniem terminu gubernatorskiego i zapowiedzią, że na święta Bożego Narodzenia wróci niezawodnie.

Pani Gruzewska łzami się zalała na to oczywiste szaleństwo syna.

Wyjechał, uciekł z domu nie wiadomo dokąd, po nocy, bez słowa gorętszego, bez opowiedzenia się, bez zwierzenia się matce. Lada urojenia starczyło, aby wszyst-

ko, wszystko na wtóre miejsce zeszło. Książdz Zalimowicz błaga, aby Juliusz przybywał w tej chwili do Wilna—a jemu co? Nałożą sekwestra za niestawienie się, skazą ciężko, że potem lata zejdą, zanim się z opresyi dobędzie, zanim banitą być przestanie! I los zwichnięty, i zamysły matczyne na marne, na marne.

— Pan Rydwin jegomość! — zameldował uroczyście kredencarz.

Pani Grużewska spojrzała przed się zamglonemi oczyma. Lecz od proga taka ku niej światłość zagrała, że w pierwszym momencie ani wzroku oderwać, ani pojąć. Rydwin byłże to—nie Rydwin?

Granatowy kontusz, karmazynowy żupan, pas srebrzysty, karabela na czerwonych rapciach, buty żółte, czapa biała, barankiem brzezona, w tył głowy zsunięta. A z pod czapy czoło łunami jasności bijące, a z pod marsem przeciętych, szczotkowatych brwi dwoje rozognionych źrenic.

Mógłże to być Rydwin? Prawda, jego to była barwa ulubiona, wojewódzka. W tym stroju na weselu pani Grużewskiej polskiego wiódł, w tym stroju pamiętała go po raz ostatni, gdy ze szlachtą Napolionowi jechał się prezentować. Ale skądżeby dziś mocy wziął do tak dzielnej postawy, skąd prężności, skąd tytułu do tak solennego wystąpienia i dzisiaj?..

Lecz Rydwin w lot odgadł panią Grużewską.

— Furda z synalem! Niema turbacyi!—zawołał ochoczo.

Pani Grużewska porwała się do rezydenta:

— Powiadasz jegomość!.. Więc Juliusz?! Mów!

Rydwin rękę na karabeli zapark:

— Furda z synalem! Rewolucya w Warszawie, mościa pani!

VI.

Pani podkomorzyna Zybergowa aż rozśmiała się z ukontentowania, gdy jej marszałek zameldował, że pocztylion przyjechał z listami.

Listy na początku grudnia! Dziw nad dziwy! Kra na Dźwinie, rozciecz z gołoledzią spierają się

na drogach, do Kirupia z Liksny przedostać się nie można, a tu listy. Dwa dla Emilki, a jeden tylko dla podkomorzyny, lecz czterykroć zamaszyszty.

Pani podkomorzyna poprawiła się na fotelu i kazała akta sobie podać i świecznik zapalić. Żał jej było skracać szarą godzinę, żał rozstawać się z migotliwemi blaskami, idącemi z prychających na komin ku główni, ale ciekawość przemogła. I nie żadna błaha ciekawość, jeno pragnienie dobycia się z głuszy, na którą pani podkomorzyna, a z nią wszyscy mieszkańcy liknoskiego pałacu, byli dwa razy do roku, na jesieni i na wiosnę, skazani, pragnienie odświeżenia myśli nowinami, pragnienie dowiedzenia się, co u najbliższych, co u rodzonych.

Nie darmo trzy razy pod rząd miała wczoraj pamfila. Pamfil potrojny zawsze siurpryzę wróży.

Wniesiono światło. Pani podkomorzyna spojrzała na pieczęć do niej adresowanego pisma i skinęła mu przyjaźnie.

— Od Dowgiałłowej!

Poczem rzuciła okiem na listy dla Emilii. Pierwszy z nich sam nastreczył się podkomorzynie „Trzema kretami“ Maryni Mohłówny, zato drugi, zmięty nieco, jakby ukryć chciał w bladym wosku swą cyfrę, bo ledwie zygzakiem ją znaczył.

Pani podkomorzyna baczniej przyjrzała się listowi, namarszczyła się i odrzuciła go na tacę z niechęcią.

List ten na chwilę pograżył staruszkę w zadumę, lecz pierwszy, klejnot Dowgiałłów noszący, wnet dobył ją smutnemu zapatrzeniu.

Chude, zeschłe palce podkomorzyny ujęły za list. Pieczęć zła mała się. Papier rozprostował się z szelestem.

Oblicze pani podkomorzyny pogodą spłynęło.

— Juścić od Dowgiałłowej z Siesik! Pisze dwudziestego ósmego novembra, a dziś ledwie piąty czy siódmy december. Więc raptem tydzień temu! Osobliwość z tą pocztą. Na taki czas z Siesik, więc prawie z Wiłkomierza. I list dopiero. Domini-

kowa zawsze miała przedziwny je-niusz do stylizowania, lecz dziś prawdziwie przeszła samą siebie, żeby tyle napisać.

Pani podkomorzyna jeszcze kilka uwag zrobiła, aż, porwana treścią listu, zatopiła się w czytaniu.

Mnóstwo bo wiadomości stała podkomorzynie pani Dowgiałłowa. I nie z samych Siesik, lecz i z Dowboryszek, i z Hermaniszek i z Wiłkomierza, z całego świata. A wszystko wiadomości dobre. Tam było niedomaganie, ówdzie taka czy inna turbacya, ale już dobrze. Minęło, przeszło. — Pan Jan Weyssenhoff smali koperczaki do Helenki, a pani Piotuch-Kublicka zagięła parol, aby syna swego Justyna z Kostusią ożenić. Złote serce u tej Dowgiałłowej i w nim także. Pocziwi Krzysztofowie Platerowie radują się z nieba córce, która młodszemu rodzeństwu sieroctwo tak potrafi łagodzić. Helenka weźmie w posagu Pokrewnie a Kostusia kapitał, bo Piotuchy mają sami ziemi do syta, a Szopów musi wypaść na młodego Krzyszka. Tylko, że za młode, więc z pół roku wypadnie zbałamucić! — Pół roku, cale zbytęczna mitręga. Nie wymawiając, przecież Marysia, gdy za Dominika wychodziła, miała ledwie szesnaście lat. I na zdrowie jej poszło. Pół roku, — szkoda, szkoda. Co? Józiowa ma bliźnięta! Patrzcie, Sołtanówna się spisała,—dwóch synów! Trzeba natychmiast do Kraśławia posłać, bo i oni, za Dźwiną pokutując, gotowi nie wiedzieć nic o własnych wnukach. — Kossakowskim urodziła się córka.—Krzyszek Plater precz z Krzemieńca listy pisze, że mu się służba wojskowa uprzykrzyła.—Generał Weyssenhoff wrócił ze swego poselstwa do dworów zagranicznych i otrzymał w darze *une boîte à chiffre*. Prezent bardzo piękny, ale szkoda, że tylko pudełko.

DCN.



MARZYCIEL.

26

Raciborski się obraził, nadział siwą czapę na bakier, podał mu dwa palce i wyszedł, trzaskając drzwiami, aż Józio wyprowadzony z równowagi, krzyknął za nim:

— Ani nigdy! Pański dziad! Szlachecka resztko! mruczał, zabierając się do robienia kasy, ale tak mu wyjątkowo nie szło, że długie chwile wpatrywał się w kolumny cyfr, nie mogąc odróżnić jednej od drugiej. Napróżno usiłował skupić uwagę i przecierał oczy—jakaś szara, ciężka mgła przysłaniała mu świat a całego przejmowało dziwne odrętwienie i taka bezgraniczna apatya, że nawet się nie zdziwił, ni poruszył, gdy o samym zmierzchu zjawiła się przed nim Frania. Była ubrana jak do drogi, z zawiniątkiem okręconem w gazetę pod pachą i w męskich, głębokich kaloszach. Nie zauważył tego, jak i nie spostrzegł jej wzburzenia i zapłakanych oczów.

— Wybierasz się na spacer?— spytał jak najspokojniej.

— Akurat mi w głowie spacer! Wyjeżdżam!

— Cóż cię znowu ugryzło?

— Sprzykrzyło mi się takie duczenie w pustem mieszkaniu i wyjeżdżam! Nawet piesby się urwał z łańcucha! Odwróciła się nagle od niego udając że patrzy na przechodzącą rezerwę.

— Trzeba się było czem zająć. Miała książki.

— Ja się tam nie rozumiem na pańskich książkach. Nie przy mnie pisane.

— Siadaj. Do pośpiesznego jeszcze z pół godziny. Jadłś obiad?

— Nażarłam się jak cztery dziewczki!

Próbowała się zaśmiać, ale nagle porwał ją taki gwałtowny kaszel aż bezwładnie opadła na kanapkę.

— Jesteś strasznie zaziębiona. Szepnął ze współczuciem.

— A bo ta mała Magdzia tak wczoraj napaliła w piecu, że musiałam okna otwierać żeby się nie uwędzić. Do reszty się doziębiam.

Nie przyznała się, że to całonocne wyglądanie na niego tak jej pogorszyło.

— Musisz się koniecznie leczyć. Dam ci bilet do naszego doktora.

— A niech mnie już raz cholera zatłucze! wykrzyknęła namiętnie.

— Gdzie się wybierasz?

Podniosła na nią niewidzące oczy.

— A gdzie mnie oczy poniosą! Mało to na mnie czeka facetów...

Urwała, oczekując ze drżeniem, że może ją zatrzyma u siebie. Nie odezwał się jednak, myśląc z pewną ulgą o jej odjeździe, gdyż nudziła go i krępowała.

— Pojadę do swoich stałych gości. Dopiero po pierwszym, to jeszcze mają hopki. A nim obrobię wszystkie stacye do samej granicy, tylu przecież facetów... A nie każdy taki nieczuły, jak pan, nie każdy!—dokończyła już przez rzęście łzy i wtuliwszy głowę w róg kanapy, wybuchnęła bolesnem łkaniem.

— Nie becz. Jeszcze kto wejdzie i powiedzą, że cię skrzywdziłem!—odezwał się ostro.

— Nie płaczę, tylko ścisnęło mnie coś pod piersiami—tłómaczyła się śpiesznie wycierając oczy; i gdy otworzył kasę i zaczął sprzedawać bilety na pośpieszny, usiadła w kątku za kasą ogniotrwałą, i wpatrywała się w niego z niewypowiedzianą czułością.

— Weź sobie na drogę papierosów, są w szufladzie;—rzucił przez ramię.

Nie poruszyła się z miejsca i obcierając łzy płynące po twarzy, patrzyła wciąż na niego jakby chcąc go zapamiętać na wieki.

— A mieliśmy razem pojechać na bibę do Mikada!—odezwał się znowu.

Posługacz zapalił lampy i odszedł. Milczenie zaległo ciężkie i długie. Słychać było tylko brzęk pieniędzy, gorączkowe żądania pasażerów i stuk stemplowanych bile-

tów, a niekiedy ciche westchnienia Frani.

Pociąg wpadł na stacyę gdy Józio odwrócił się do niej z przypomnieniem.

— Ostrożnie, Franiu! Jeszcze który posłyszysz, namówi drugich i zastrajkuje.

— A niech ich wszystkich jasna cholera wytłucze!—bryznęła, nie mogąc się już powstrzymać.

— Cóż ci to zrobiłem złego?

— Pan! pan! pan!..—powtarzała coraz ciszej, bo słowa więzły w ściśniętem gardle, a piersiami zaszarpał taki straszny ból, że ledwie oddychała, ledwie jej serce nie pękło.

— Może nawet najwięcej, najwięcej!—wykrztusiła w końcu.

Spojrzał na nią zdziwiony, i nierozumiejąc, co się z nią dzieje, rzekł lekceważąco:

— Gniew szkodzi urodzie!

— Bo przez pana spotkał mnie taki wstyd...—ciągnęła ledwie dosłyszalnie, mocując się ze sobą, żeby zamilczeć i nie wybuchnąć jakąś bolesną skargą.

— Przeze mnie? Co ty pleciesz! Kiedy? Gdzie?—zapytał ostro, zbliżając się do niej.

Byłaby wypowiedziała wszystko, ale pochwycił ją długi, męczący kaszel, a po chwili wraz z nim przeszło rozdrażnienie, więc tylko zaczęła jękać:

— W złości to człowiek sam nie wie, co mówi...

— To niechże Frania pamięta, co i do kogo się mówi!—wyrzekł surowo i odszedł do okienka.

Zawisło pomiędzy nimi dosyć długie i przykre milczenie. Zjawił się posługacz, pozapalał lampy i zniknął. Józio coraz częściej i swarliwiej użerał się z pasażerami i z taką pasją ciskał pieniądze do kobiałki, aż się rozsypywały na podłogę. Frania, nieco już uspokojona, wyciągnęła z torebki lusterko, ołówki, puder w papierku, i wyskubawszy z własnego paletka kłaczek brudnej waty, bardzo staran-

nie przypudrowała sobie twarz spłakaną, podczerniła zaczerwienione oczy, nakarminowała sinawe usta, poprawiła włosy, wzięła na zapas papierosów i siadła trochę z boku od pasażerskich oczów, ciekawie wciskających się do pokoju.

Józio spoglądał na nią niekiedy, ale tak, jakby jej nie spostrzegając, a z jej złotych rzęs często spadały grube, ciężkie krople i oczy miała pełne wilgotnych blasków; patrzała w niego jak skopany psiak, wiernie, żebząc i z jakąś cichą i lękliwą miłością.

Dopiero, gdy pośpieszny wtoczył się na stację, Józio się odezwał, zamykając kasę:

— Franiu, już czas. Może ci dać bilet?

— Zawsze jeżdżę na gapę... przecież mnie znają.

Zbierała się powoli, czekając ze drżeniem i jakąś rozpaczłą nadzieją, że może powie: zostań Franiu!

Ale się nie odezwał, wcisnął jej za rękawiczkę jakieś pieniądze i pomagał się ubierać. Pierwszy dzwonek zahuczał na peronie i Fra-

nia tak się nagle rozdygotała, że nie mogła zawiązać woalki, trzęsła się cała jak w febrze, złote rzęsy biły, jakby skrzydła śmiertelnie zranionego ptaka, oczy miała wprost nieprzytomne, a na usta cisnęła się jakaś głęboka, serdeczna prośba, ale potrafiła tylko wyjąkać:

— U pana Mikada bywa wesoło... Przyjedzie pan... co? Przyjedzie?

— Naturalnie. Kolega przecież, musimy go pożegnać...

DCN.

A. Lange.

ATYLLA.

Fragment z tragedii.

(Na dworze Atylli byli liczni zakładnicy: *Hagen*, książę gundzki; *Walgierz* z Chrobacyi, zwany Wdałym; *Heligunda*, księżna cymbryjska, wreszcie *Oldrzych* z Bojemii. Ci różnemi czasy uciekli potajemnie. Pierwszy zniknął *Hagen*: pragnie on się dobrać do złota Nibelungów—i oto w noc świętojańską poszukuje tajemnicy, by je uzyskać. *Heligunda* miała zostać żoną Atylli, ale kochając *Walgierza*, odpycha tamtego. Korzystając z uczt i powszechnego pijaństwa, kochankowie uciekają. Tymczasem *Oldrzych*, również *Heligundę* kochający, zauważywszy ich zniknięcie, w pogoń ruszył za nimi. Spotykają się nad brzegiem *Renu*. Dla wyjaśnienia musimy dodać, że Atylla posiadał miecz zaczarowany, który miał mu dać panowanie nad światem).

SCENA I.

(*Noc. Brzegi Renu. W głębi ciemna puszca. U brzegu rzeki siedzą dwaj strażnicy, starszy i młodszy. Na proscenium część lasu: cienisty dąb, murawa.*)

PIERWSZY. Więc nie puszczaj nikogo. Przewóz za-
[kazany.

DRUGI. Dziwne nieraz zachcenia mają nasze pany.

PIERWSZY. Ale płacą.

DRUGI. Ba, złotem. A cesarskie głowy
Na złocie.

PIERWSZY. Cóż dziwnego? Dziś tu niby łowy—
Po drugiej stronie rzeki. Zatem chcą książętą,
By ta puszca dla innych była dziś zamknięta.

DRUGI. Oj, niemądryś ty człowiek! Pod borów osłoną
Żyjesz—i od ich liści głowę masz zieloną.

PIERWSZY. Niby co?

DRUGI. To ty nie wiesz, jakie polowanie
Burgundy czynią dzisiaj w noc o świętym Janie?

PIERWSZY. To prawda! Dzisiaj skarby wszystkie są
[przejrzyste
Oczom ludzkim!

DRUGI. A dyć tak! W *Renu* fale czyste
Spójrz! Jak tam świeci na dnie.

PIERWSZY. To blaski miesiąca!

DRUGI. Dla ciemnych. Lecz kto widzi, temu gorejąca
Łuna szczerego złota w fali tej zaświeci.

PIERWSZY. Pamiętam, coś mój rodzic, gdy chciał stra-
[żyć dzieci,
Bajał nam o tem złocie, co w *Renie* spoczywa.

Pamiętam.

DRUGI. To nie bajka, ale wieść prawdziwa.
Jam starszy—i nie mało widziałem na ziemi:
Nibelungów widziałem! Skoki szalonymi
Jak po *Renie* pływały, rozsypując złoto!

PIERWSZY. A *Loreley* widziałeś? Z gorącą tęsknotą
Wysłuchałbym jej pieśni. Mówią, że gdy śpiewa —
Jeśli długo jej słuchać, woda cię porywa.

DRUGI. Ona ma pod swem okiem podwodne skarbnice
I śmiałków strąca w fale.

PIERWSZY. Nasi królewice
Czyli też zginą w wodzie?

DRUGI. Nie, burgundom z prawa
Należy się ta złota Nibelungów ława.
Toć oni z Nibelungów idą pokolenia,
A ci dostali skarby z bogów przyzwolenia,
Od *Brunhildy*.

PIERWSZY. Od onej bogini-królowej,
Co to srodze płakała śmierci *Zygfyrdowej*.

DRUGI. Właśnie... I od tej śmierci królowie tej ziemi
Muszą się ofiarami wykupywać cniemi,
Aby na nowo zyskać do tych skarbów prawo.
Dziś noc ofiar. Dziś puszca dziką huczy wrzawą
Upiorów, które błądzą w cieniu sosen czarnych.

PIERWSZY. Strach mi! A gdybym ujrzał które z tych
[cmentarnych
Widziadeł!...

DRUGI. Nic się nie bój. Kto skarbów nie widzi,
Nie ujrzy też i groźnych biesów zamogilnych;
Dobry duch go nie pieści—zły duch żeń nie sztydzi,
Bo szatany jedynie czatują na silnych.

PIERWSZY. Kto wie—może i lepiej stać na miejscu niz-
[kiem,
Anizeli złych duchów wiecznie być igrzyskiem.

DRUGI. Nie wiem! Lecz świat jest taki. Jedni tak się
[rodzą,
Że wysoko po gwiazdach, na błękitach chodzą,
A inni znów po ziemi błądzą jak robaki.

PIERWSZY. To prawda. Wola boża, ale świat jest taki.
Burgundy sobie w lesie zaklinają bogów,
A my czuwamy tutaj u ich rzeki progów.

DRUGI. Ale też, co im grozi—pewnie żaden nie wie.
Podobno król tatarski w srogim teraz gniewie
Na *Hagena*, że uciekł, straszliwie się miota
I samby chciał się do reńskiego złota.

PIERWSZY. Tak-ci mówią, że światu krwawą grozi wojną—
I stąd na niebie znaków i złych wróżb tak rojno.

DRUGI. Atylla zaś najwyższą płynie na świat drogą.

PIERWSZY. Nie może być? Najwyższą?

DRUGI. Niby napowietrzną.

PIERWSZY. Jakto? Czyby na skrzydłach?

DRUGI. Podnieś w górę ślepie.
Patr! Tam! Wojsko Atylli idzie drogą mleczną—

Tym gościńcem srebrzystym na błękitów stepie.
A te gwiazdki, od których drżą niebieskie szlaki,
To kopyta rumaków... Pędzą te rumaki,
Aż upadną na ziemię w niespodzianej chwili.
To jest szlak wojowników straszego Atylli.
Mówię—ć—przyjdzie on do nas ze swym wielkim młotem.
Jabym raczej doń wyszedł z całym Renu złotem.

PIERWSZY. Pewnie! Bo poco wojna?.. Nic po niej bie-
[dactwu—

A radość jeno wielka zgłodniałemu ptactwu.

DRUGI. Książęta lubią wojnę—a i żołnierz prosty
Może znaleźć buławę—choć rany i posty
Do niej wiodą... Za młodu i jam był wojakiem
I piersi mam niejednym poorane znakiem.

PIERWSZY. Chciałbym mieć waszą mądrość. Dużoście
[widzieli —

I ciekawie gadacie, aż się duch weseli..

Inaczejby tu z nudów usnął, nim zaświta.

O, o, o!.. *(Nasłuchuje).*

DRUGI. Słyszysz odgłos końskiego kopyta?
Patr—w bór—tam... Dwaj rycerze na jednym rumaku.

(Wstaje i z halabardą idzie ku lasowi).

Baczność! Stój! My tu strażę na królewskim szlaku.

*(Wchodzi na scenę WALGIERZ i HELIGUNDA. Mają
jednego konia. Heligunda w stroju giermka).*

SCENA II.

WALGIERZ. Słuchajcie, dobrzy ludzie. Z krainy dalekiej
Śpieszym do ziemi gallów. Macie tu dukata—
Przewieźcie nas na łodzi na tamten brzeg rzeki—
Mnie—a wraz i młodzieńca tego—mego brata.

DRUGI STRAŻNIK. Nie możemy was przewieźć, szla-
[chetni rycerze!

Książę Hagen na łowach.

WALGIERZ. Nie mówicie szczerze.
Jakto, łowy po nocy? Toż to czyste drwiny.

STRAŻNIK. Widać, że to panowie z dalekiej krainy—
Nie znacie obyczajów. Nocne polowanie...
Nie wiem, na co polują w noc o świętym Janie.
Lecz ze świtem dopiero zakończą się łowy.
Przedsię zakaz przewozu mamy tak surowy,
Że kto jeźdźca przepuści—ten gardłem zapłaci,
A ktoby gwałtem przeszedł—ten żywot utraci.

WALGIERZ. Dość tego. Puść na czołno—lub gardło ci
[zduszę.

STRAŻNIK. Błagam, panie. Dostępu ja bronić ci muszę.

WALGIERZ. Z drogi!

HELIGUNDA. Walgierz, przestań.

WALGIERZ. Zanim błysnie zorza,
Musimy być daleko. Tutejsze bezdroża
Są dla nas niebezpieczne. Hagen—druh nam przecie.
Ani kroku!..

HELIGUNDA. O, proszę ciebie!

WALGIERZ. Drogie dziecię!

HELIGUNDA. Uspokój się. Tu żadne nie sięgną pogonie.
Jam znużony. Wypocząć muszą nasze... konie...
Usiądź pod tym dębem. Swobodnie pogwarzym...

WALGIERZ. Ucałuję...

HELIGUNDA. Popieścim...

WALGIERZ. Uściśnięm...

HELIGUNDA. Pomarzmy!

*(Idą na przód sceny—a potem kładą się na mura-
wie pod dębem).*

WALGIERZ. Takie srebrne masz słowa — takie czyste
[dźwięki,

Że mdleją od nich ruchy zagniewanej ręki.

Siądźmy, Hildo! Spocznijmy. Taka cisza w lesie,
Jakby duchy milczenia miały tu królestwo.

HELIGUNDA. Lubię takie milczenie. Dusza w jego kresie
Zdaje się jakby podwójne tworzyła jestestwo.

WALGIERZ. I ja lubię się kąpać w tej ciszy strumieniu.
Zdaje mi się, że więcej mądrości w milczeniu,
Niżeli we wszystkich słowach, jakie usta głoszą.

HELIGUNDA. To prawda. Jabym mogła—milczenia roz-
[koszą

Upojona—przez lata nie powiedzieć słowa...

A wciąż jam więcej—więcej kochać cię gotowa.

WALGIERZ. Ja nie mogę tak milczeć. Muszę co go-
[dzina—

Co kwadrans— co minuta, gdy się czuję w niebie—
Mówić, szeptać i krzyczeć: kocham, kocham ciebie!—
Inaczej o kochaniu serce zapomina.

Patrzę na ciebie—patrzę... Jak dziwna przemiana
W pani mojej... Ty pierwszej w stały wykąpana —
Żelazem cała lśniąca. Jesteś taka mięka—
Tak cicha... Jakiś smutek, zda się, ciebie nęka.

HELIGUNDA. Nie znasz mię jeszcze dobrze. W kraju
[mym jest morze

Nieskończone, ponure, szerokie, bezdenne,
Które odbija w głębi swej północne zorze,
Jak zima lodowata, a razem płomienne.
Jam burzliwa, jak morze; jam jest tak surowa,
Jak północ—i jak zorza bywam purpurowa.
Ale morze też ciszę uroczystą miewa,
Nad nią tylko się czasem mignie biała mewa:
Taka cisza jest we mnie—taka białosc we mnie.

WALGIERZ. Cisza się w tobie z wichrem złączyła wza-
[jemnie.

Kocham cię, czyś jak zorza wieczorów płomienna—
Czyli cicha jak nocy bogini półsenna.
Nie tak jest w mojej ziemi. W mej ziemi są góry—
Czarne, a białem czołem oparte o chmury—
Granity twarde—orłów i kozic siedlisko...
Tu gołe krzesawice—tu znów turnie skalne—
W zielonych, miękkich muraw odziane pastwisko.
Powietrze tam pieściwe—jeno wiatry halne
Kiedy czasem zawyją—to świat w rumowisko
Pada w dzikich łoskotach... Tak ci syny Tatrów
Łagodne a z granitu, a czasem w ich duszy
Zatańczą huraganem szale halnych wiatrów:
Tylko od twoich źrenic ten granit się kruszy!

HELIGUNDA. Tym oto pocałunkiem niech się złączy ra-
[zem

Granit gór niebotycznych z cymbryjskim żelazem—
Wicher mórz z wiatrem halnym—i pomorskie cisze
Z milczeniem, co po turniach lekko się kołysze.

WALGIERZ. Połóż dłoń w mojej dłoni. Daj mi spojrzeć
[w oczy—

Daj mi patrzeć w swą duszę bez granic i końca:
Nieskończoność w niej widzę — aż mój duch się
[mroczy

I nie dosięgnie kresu źrenica błędząca.
Ty jesteś córą bogów. Rzeknij mi, dziewico,
Kto ci wzrok rozpłomienił taką błyskawicą?
Kto czar taki nieziemski nadał twej osobie,
Że się w niej biały anioł z orlim wiąże duchem?

HELIGUNDA. Tak mię stworzyły bogi. O wieczornej
[dobie

Nieraz szepczą mi wiatry jesiennym podmuchem
Nierozumiałe słowa—i z trwogą tajemną
Czuję strasznych przeznaczeń jakąś dłoń nade mną.

WALGIERZ. Nie trwóż się, drogie dziecię. Ja ci jestem
[tarczą—

Ten miecz i te dwie ręce do ochrony starczą.
A gdybym miał i życie poświęcić za ciebie...

HELIGUNDA. O, nie! Jedna mogiła oboje pogrzebie.

WALGIERZ. Nim ty zginiesz—ja zginę!

HELIGUNDA. Ja pierwszej!

WALGIERZ. Ja pierwszej!

HELIGUNDA. Widzisz! Oto mym słowom zaprzeczasz
[bez przerwy—

I to pewnie me pierwsze gorzkie przeznaczenie.

WALGIERZ. Drwij ze mnie! Rozchmurz czoło. Widzę,
[że milczenie

Na nic się nie zda... Lepsza—stokroć lepsza mowa.

HELIGUNDA. Słyszysz — słyszysz! Tam w głębi zahu-
[czała sowa—

Jedna—druga! Złe wróżby.

WALGIERZ.

Sen mara—Bóg wiaral

HELIGUNDA. Patrz, jaka dziwna losów mi przypadła
[miara.

Czy takie zrękowiny miewają dziewczęta?
Czy od samej kołyski nie byłam wyklęta?
O rękę innych zdała przychodzą rycerze—
Rodziców o nią proszą—walczą na turniejach.
Jam Atylli oddana w haniebnej ofierze
I z jego ciżbą żywot przepędziłam w kniejach...
Dopiero ty... Pamiętasz—jakoś potajemnie
Przychodził pod me okna—i budziłeś we mnie
Lubą trwogę i rozkosz—że słodko i smutnie
Po nocy mi dzwoniłeś w swoją złotą lutnię...
Kryć musiałam swą miłość—drżałam o twe życie—
Wreszcie sen wlałam w wino—i spojoną tłuszcze
Gdy ujrzę—lecę z tobą przez olbrzymie puszcze—
Na kres świata.

WALGIERZ.

Na serca mojego granicie

Czytaj więc: Heligunda od dziś wyzwolona
I od dziś jest szczęśliwa. Pójdź w moje ramiona—
Nie drżij mi, bohaterko, jak mała ptaszyna.
Łzy widzę w twoich oczach! Jakaż łez przyczyna?

HELIGUNDA. Rozpływam się w tklivości jakiejś nie-
[skończonej,

A w sercu mojem dzwonią takie srebrne dzwony,
Jakby nowego życia błysło mi przedednie.
Płacę—na pół w przeczuciach, a na pół bezwiednie
Zatracam samą siebie. Zdaje mi się czasem,
Że ten las—to jest duch mój, i twój duch—tym lasem
Wszystko zlewa się z sobą—i nie masz granicy
Pomiędzy mną a tobą—i tą puszcza ciemną.

WALGIERZ. Śpiewaj mi, śpiewaj jeszcze—i tak świeć na-
[de mną,

Jak gwiazda. Złota jutrznia lśni mi w twej żrenicy...
Zda mi się, żeśmy kiedyś znali się przed wiekiem—
Czym wtedy był człowiekiem, czyli nie człowiekiem,
Nie pomnę. Byłaś moją. A gdy zszedł na ziemię,
Niepełną miałem duszę. Więc szukałem ciebie...
I próżnobyś całował wszystko niewiast plemię;
Tyś jedyna—tyś moja, przeznaczona w niebie.
Nie mógłbym cię zamienić, jak nie mógłbym zmienić
Własnej duszy—bo tyś jest moją duszą własną—
W tobie jednej ja siebie mogę wypromienić—
W tobie jedyne słońce me... Jasno mi, jasno!

HELIGUNDA. Ach, jasno mi jest—dobrze... Przez groź-
[ne zapory

Dusze się rwą ku sobie... O, jak szumią liście!
Kukułka kuka...

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

30

— Czy mogę wiedzieć: wy-
wróżył co prawdziwego?

— Nie wywróżył nic na te
wszystkie lata, które minęły.

— Nic...

W głosie jej spłynął dźwięk
ulgi.

— Na te lata...

Spojrzała na niego i ujrzała,
iż raz jeszcze twarz jego rozblę-
sła zapalem.

— Wywróżył, co będzie do-
piero?—rzekła.

A on powtórzył:

— Wywróżył, co będzie do-
piero.

Zatem szli już w milczeniu,
aż póki nie ujrzeni purpurowych
kwiatów bugenwilei, oplatających
białe ściany palarni.

Domini zatrzymała się na wąż-
kiej ścieżce.

— Czy on tam? — zapytała
prawie szeptem.

— Niewątpliwie.

— Kiedyś tu była pierwszy
raz, wtedy grał Larbi.

— Tak jest.

— Chciałabym, żeby i teraz
grał.

Cisza zdała się jej teraz nie-
naturalnie natężoną.

— Nawet jego miłość musi
czasami odpocząć.

Postąpiła krok czy dwa, aż
póki, lecz ciągle z odległości, nie
zdołała zajrzeć nad niskim murem
pod najbliższym oknem do środka
małego pokoiku.

— Tak jest, jest on tam—szep-
nęła.

Wróżbiarz siedział w kucki na
podłodze, plecami zwrócony do
nich, z głową opuszczoną. Widać
było jedynie jego ramiona, okryte
białym łachmanem. Poruszały się
bez ustanku, lecz zlekka.

— Co on tam robi?

— Rozmawia ze swym przod-
kiem.

— Swym przodkiem?

— Piaskiem. Alui!

Zawołał łagodnie. Postać po-
wstała, bez szelestu i natychmiast,
a twarz wróżbity uśmiechnęła się
ku nim poprzez czerwone kwiaty.
I znowu Domini miała wrażenie,
że ciało jej jest szklanym pudłem,
w którym jej myśli, czucia i pragnie-
nia były uszykowane rzędem do
ogłędzin przez tego człowieka; stą-
piła atoli rezolutnie poprzez wązkie
otwory drzwi i siadła na jednej
z kanapek. Hrabia Anteoni podą-
żył tuż za nią.

Teraz dopiero zobaczyła, że na
środku pokoju, na ziemi, były po-
rozkładane symetryczne kupki pias-
ku i że wróżbita zbierał sprawnie
worek swymi giętkimi i dłu-
giemi palcami.

— Widzi pani?—rzekł hrabia.

Skinęła głową, nic nie rzekłszy.
Małe kupki piasku przykuły jej
wzrok. Próbowano uważać je za
głupstwo, a człeka, który je roz-
kładał—za szarlatana pustyni, lecz
powstrzymaną została przez jakieś
dziwne uczucie lęku, jak gdyby
miał ją spotkać jakiś zjaw dziwny
magiczny.

Wróżbita siadł raz jeszcze na
piętach, rozpostarł swe palce nad
kupkami piasku, spojrzał na nią
i uśmiechnął się.

— *La vie de madame...* widzę
je w piasku... *la vie de madame*
dans le grand désert de Sahara.

Oczy jego zdały się wyciągać
tajemnice z każdego zakątka jej
istoty i rozkładać je na ziemi, jak
rozkładał te kupki piasku.

— *Dans le grand désert du*
Sahara—powtórzył hrabia Anteoni,
jak gdyby lubił muzykę tych słów.—
Jest tedy tu życie w pustyni dla pani?

Wróżbita opuścił palce na kup-
kę, cisnąc zlekka piasek na dół i na
zewnątrz. Nie patrzył już na Do-
mini. Satyr i badacz wyzierał z je-
go oczu i ciała. Zdało się, zapom-
niał o dwojgu patrzących i cały
skupił się nad ziarnkami piasku.
Domini zauważyła, że wyraz umę-
czony, który wystąpił na jego twa-
rzy, kiedy go była spotkała na uli-
cy i kiedy patrzył w swój worek,
powrócił mu znowu. Stłoczywszy
piasek, rozpostarł worek, który go
zawierał, u stóp Domini i sprawnie
przenosił piasek do niego, zsypując
wolno ziarna nad workiem, by two-
rzyły wzory. Potem, pochyliwszy
się tuż nad niemi, patrzył przez
dłuższą chwilę w milczeniu. Ospo-
wata twarz jego zastygła, jak w ka-
mieniu. Wycieńczone ręce jego,
wyciągnięte nad ziarnami, były jak
wykute z metalu. Ciało jego zdało
się całkiem wyczutem z oddechu
przy nieruchomości zupełnej.

Hrabia stał we drzwiach, jak był stanął, w otoczeniu purpurowego kwiecica nieruchomego. Tam dalej, rzędami uszykowanymi, stały nieruchome drzewa. W małej kadzielnicy nie płonęło dzisiaj kadzidło. Zamknięty świat zdał się tu być czarami związany.

Pomruk głuchy przerwał wreszcie ciszę. Pochodził on od wróżbity. Począł mówić szybko, lecz jak gdyby do siebie, a mówiąc, poruszył się znowu, pomieszał palcami wzory na piasku i począł tworzyć nowe: linie śrubowe, koła węzowe, szereg punkcików wzniesionych, które przypomniały Domini bryzgi, utworzone przez fontannę, linie krzywe, podłużne i kwadratowe. Tak szybko robił to i odmieniał, że zdało się—piasek miał życie, układał się samoistnie w desenie i jawił doraźnie błyski prawdy, która w nim była ukryta. A z ust jego wciąż wybiegały słowa i oczy były spuszczone, a ciało, prócz ruchu rąk i ramion, w zupełnym zeszywnieniu.

Domini przeniosła wzrok z wróżbity na hrabiego Anteoniego, który postąpił spokojnie i usiadł, wysuwając głowę, by słyszeć wróżbitę.

— To po arabsku? — zapytała szeptem.

Skinął głową.

— Czy pan to rozumie?

— Jeszcze nie. Teraz będzie mówił wolniej, wyraźniej. Poczyna zawsze w taki sposób.

— Niech mi pan to przetłumaczy.

— Dokładnie wszystko?

— Dokładnie wszystko.

— Cobądźby to być miało?

— Cobądźby to być miało.

Spojrzał na umęczoną twarz wróżbity i wzrok jego dziwnie spoważniał.

— Niech pan pamięta—powiedział mi pan, że jestem kobietą bez lęku—rzekła.

A on odrzekł:

— Cobądźby to było, będzie pani wiedziała.

Zatem znowu zamilkli. Stopniowo głos wróżbity urastał i stawał się jaśniejszym, miara słów była wolniejsza, jakkolwiek wciąż jeszcze dźwięk był tajemny i jak gdyby wewnętrzny, mniej podobny do głosu ludzkiego, bardziej do odległego głosu tajemnicy.

— Teraz już słyszę wszystko—rzekł szeptem hrabia.

— Cóż on powiada?

— Powiada o pustyni.

— Tak?

— Widzi wielką burzę. Po-
czekajmy chwilę.

Głos mówił kilka chwil i przestał, i raz jeszcze wróżbita pozostał całkowicie bez ruchu, z rękoma rozpostartymi nad ziarnami piasku, podobnymi do rąk, kowanych z metalu.

— Widzi wielki huragan w pustyni, jeden z najstraszniejszych, jakie kiedy szalały nad Saharą. Wszystko zaćmione. Pustynia zniknęła. Beni-Mora zakryte. Jest to dzień, lecz panują ciemności nocy. W ciemności tej widzi karawanę wielbłądów, oczekującą u kościoła.

— U meczetu?

— Nie, u kościoła. W kościele dźwięki muzyki. Ryk wichrów, poryk wielbłądów miesza się z temi dźwiękami i zgłusza je. Przez chwilę nie słyszy ich. Robi to wrażenie, jak gdyby pustynia była gniewna i chciała zdusić muzykę. W kościele poczyna się pani życie.

— Moje życie?

— Pani życie prawdziwe. Mówi on, że teraz pani żyje w pełni, że dotychczas miała pani jak gdyby zawój na duszy, podobny do łona, które osnuwa niemowlę.

— On to powiada!

W głosie jej był dźwięk głębokiego wzruszenia.

— To wszystko. Ryk zawieruchy pustynnej zaćmił muzykę kościelną—i ciemność dokoła.

Wróżbiarz poruszył się znowu i tworzył nowe desenie na piasku z pośpiechem gorączkowym—i znowu począł mówić szybko.

— Widzi teraz sznur wielbłądów, który oczekiwał u kościoła, jak rusza w podróż pustynną. Burza nie ucichła. Przechodzą przez oazę do pustyni. Widzi je, zdążające ku południowi.

Domini wychyliła się naprzód na kanapie, patrząc na hrabiego Anteoniego zponad pochylonej głowy wróżbity.

— Jaką drogą?

— Drogą, którą tuziemcy zwą szlakiem do Tombuktu.

— Ależ to moja droga!

— Na jednym z wielbłądów jest *palanquino*, jakiego wielcy szeikowie używają do przewożenia swych żon, w palankinie—dwoje ludzi, osłoniętych od burzy firankami. Trwają w milczeniu, słuchając ryku wichrów. Jednym z nich jest pani.

— Dwoje!

— Dwoje.

— Lecz któż jest drugi?

— Nie może go dojrzeć. Czarność burzy jest jak gdyby głębsza dokoła drugiej osoby i ukrywa ją przed nim. Karawana ciągnie dalej i niknie w burzy i osamotnieniu.

Domini nic nie odrzekła, lecz patrzyła z góry na chudą postać

wróżbity, który usadowił się u jej kolan. Był to lico dziobate licem proroka? Skóra ta i kości czy były siedzibą duszy jasnowidza?

Wróżbita poruszył się raz jeszcze. Palce jego przez kilka chwil krzątały się pilnie koło piasku. Poruszały się atoli teraz wolniej, i słowa nie ulatywały mu z ust. Domini i hrabia pochylił się, żeby widzieć, co on poczyną. Wyraz umęczenia na twarzy jego powiększał się. Wyraz ten był straszny i robił na Domini wrażenie niezatarte, nie mogła się bowiem obronić, by nie łączyć go z widmem swej przyszłości, co znowu wzbudzało w niej bezkształtne zmory rozpacz. Patrzyła na ten piasek, jak gdyby ona też była zdolną widzieć, i nic nie mówiła, patrzyła tylko, aż póki nie została prawie, jak zahypnotyzowaną. Ręce wróżbity trzęsły się teraz, gdy robił nowe wzory, a pierś jego wznosiła się pod białą odzieżą. Narysował teraz na piasku trójkąt i począł mówić.

Hrabia pochylił się, aż prawie ucho jego dotykało warg wróżbity, a Domini wstrzymała oddech. Karawana, porzucona wśród pustki piasków bezbrzeżnych, wśród burzy i ciemności—gdzie jest teraz? Jaki los ją spotkał?

Pot ociekał po twarzy wróżbity, spadał mu kroplami na ubranie, na ręce, na piasek, znacząc ciemne ślady. A głos jego biegł wciąż szeptem chrapliwym, aż przyparował Domini prawie o gorączkę zniecierpliwienia. Ujrzała na twarzy hrabiego odbity wyraz umęczenia wróżbity. Czy wyraz ten był także i na jej twarzy? Węzeł tajemny—to pewne—łączył ich razem w tym małym pokoiku, okolonym zwartą strażą drzew wielkich i ciszą natężoną.

Spojrzała na trójkąt na piasku. Był on bardzo wyraźny, wyraźniejszy, niż inne desenie, które był układał. Co wyobrażał ten trójkąt? Szukała w myśli, myśląc o pustyni, o swym życiu tutaj, o życiu ludzi pustyni. Zali nie kształt to namiotu? Tak jest, był to namiot, jej namiot, rozbity gdzieś w pustyni, zdale od siedzib ludzkich. Ręce trzęsące się uspokoiły się teraz, głos był spokojny, lecz pot nie przestawał opadać kroplami na piasek.

— Proszę mi powiedzieć!—rzekła szeptem do hrabiego.

On usłuchał jej, lecz zdało się, że mówił tym razem z wysiłkiem.

— Daleko stąd w pustyni...

Zatrzymał się.

— Co, co?

— Bardzo daleko stąd, w miejscowości piaszczystej... Są tam zwa-

ły piasku niezmierzone, z obu stron zwały ogromne, jak góry. Tuż w pobliżu błyszczą ognie liczne. Są to światła na rynku miasta pustynnego. Pomiędzy zwałami, wraz z wielbłędami, rozstawionymi z tyłu, znajduje się namiot...

Domini wskazała palcem na trójkąt, nakreślony na piasku.

— Wiem o tem — rzekła szepem. — To mój namiot.

— Widzi on panią tutaj, jak widział był w palankinie. Lecz obecnie jest noc i pani jest całkiem samotna. Nie śpi pani. Coś utrzymuje panią w czuwaniu. Jest pani podniecona. Wychodzi pani z namiotu na wały piaszczyste i spogląda ku ogniom miejskim. Słyszysz on szakale, wyjące zewsząd dokoła i widzi szkielety zmarłych wielbłędów — białe w księżycu.

Domini wstrząsnęła się mimowoli.

— W duszy pani jest coś početně wezbranego. Powiada on, iż jest to, jak gdyby wszystkie palmy pustyni zniosły razem swe pło-

dy i jak gdyby we wszystkich wyschłych miejscach, gdzie ludzie i wielbłądy lat ubiegłych umierali ze znoju, wytrysły źródła ożywcze, i jak gdyby piasek był okryty milionami kwiatów złotych, dużych, jak kwiaty aloesowe.

— Ależ to szczęście wielkie, szczęście!

— On powiada, że to wielkie szczęście.

— Dlaczego tedy ma on wyglądać tak straszny? czemu tak ciężko oddycha?

Wskazała na wróżbitę, który trząsł się przykucnięty i dyszał ciężko i wciąż opływał potem, jak w agonii.

— Jest jeszcze coś nad to — rzekł hrabia wolno.

— Proszę mi powiedzieć.

— Stoi pani jedna na zwałach piaszkowych i spogląda ku miastu. Słyszysz on uderzenia tamtamtów i krzyki odległe, jak gdyby to było święto weselne. Widzi postać wśród piasków, zdążającą ku pani.

— Kto to taki? — zapytała.

Hrabia nie odpowiedział. Lecz Domini nie pragnęła, żeby jej odpowiedział. Zapytała bez myśli o tem, co mówi.

— Pani patrzy na tę postać. Idzie ona ku pani, stąpając ciężko.

— Stąpając ciężko?

— To on tak powiada. Daktyle poskręcały się na palmach, strumienie wyschły, kwiaty opadły, w pustyni — śmierć. Tamtamy w mieście ucichły i ognie czerwone zniknęły. Cisza i ciemność dokoła. I oto widzi on...

— Proszę przerwać! — rzekła Domini prawie gwałtownie.

Hrabia siadł, patrząc na nią. Ścisnęła sobie mocno dłonie. W ciemnym jej licu, z ciężkimi powiekami i mocnymi, szlachetnymi wargami, widać było walkę, zatarg jakiś pomiędzy pragnieniem i jakąś bardziej bierną, lecz stanowczą odrzą. Po chwili rzekła znowu:

— Proszę, nic więcej nie chcę już słyszeć.

DCN

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Polonica.

× Pośród nagrodzonych w wiedeńskiej Akademii sztuk pięknych uczniów znajduje się dwóch polaków: Bolestaw Jan Czedekowski z Wojniłowa w Galicyi, który studiował malarstwo na kursie prof. Pochwałskiego i otrzymał specjalną nagrodę szkólną, — oraz Franciszek Józef Kucharczyk z Rzepiennika Strzyżowskiego, uczeń kursu rzeźby profesora Kundmanna; otrzymał on stypendyum państwowe na podróż.

Pomnik Kościuszki w Chicago odsłonięty zostanie w połowie września. Antoni Popiel, twórca pomnika, wykończył już ostatnią grupę, mającą zdobić cokół; przedstawia ona apoteozę wolności w postaci młodego żołnierza amerykańskiego ze sztandarem w ręku, rozcinającego mieczem pęta, krępujące ręce młodzieńca, który z wdzięcznością spogląda w twarz swego oswobodziciela. Komisja artystyczna komitetu pomnikowego w Chicago przyjęła pracę z wielkim uznaniem, a model grupy oddano już do odlewu w bronzie. Postać główna, wyobrażająca Kościuszkę w mundurze generała St. Zjednoczonych, jest już zupełnie wykończona, również grupa „Raclawicka“, która zdobić będzie cokół od strony Europy.

Z literatury francuskiej.

× Michał Corday. „Małżeństwo przyszłości“. („Le mariage de demain“) Podkład społeczny daje autor swojej powieści, usiłując bowiem zbudować „złoty most“ ponad przepaścią kastową, dzielącą burżuazję i świat robotniczy. Tym mostem ma być szczęśliwy związek małżeński. Młody lekarz poślubia robotnicę, która pracuje w fabryce jego wuja. Całe otoczenie lekarza oburza się na niego, z wyjątkiem matki, która mu dopomaga

w kształceniu robotnicy na damę światową. Pogardzana przez rodzinę, dziewczyna z ludu“ ocala ją w końcu od groźnego niebezpieczeństwa — podczas strajku, który wybuchł w fabryce, bierze na siebie rolę pośredniczki i powstrzymuje dawnych towarzyszy pracy od napadu na dom fabrykanta, który już pochwycił broń, by do robotników strzelać. Autor nie zdobywa się na dość silne argumenty, by przekonać czytelnika o słuszności swojej tezy. Fakt ocalenia rodziny od zemsty robotników nie wystarcza do wykazania, że takie mieszane małżeństwo ma być ideałem stałą przyszłości. Nadto, jako robotnica, bohaterka była pożyteczną jednostką w społeczeństwie, jako pani doktorowa zaś rozkazuje tylko służbie i składa wizyty.

× O. de Traynel. „Odkrycie d-ra Faldrasa“. („La découverte du dr. Faldras“). Zagadnienie przedłużenia życia stanowi treść książki niniejszej. Dużo w niej zajmujących powikłań i sensacyjnych pomysłów, ożywiona jest nadto duchem szowinistycznego patryotyzmu, nienawisć do Niemców wyczuwa czytelnik z każdej niemal strony. Rzecz dzieje się w r. 1922-m.

Z literatury włoskiej.

× Robert Bracco. „Grymasy wesole i smutne“. („Smorfie gaje — Smorfie tristi“). Nowele, w dwóch tomach zebrane, usprawiedliwiają swój tytuł naturą skreślenia charakteru postaci. Nie są to typy wystudiowane wszechstronnie, wykończone; autor niejako pochwylił je na gorącym uczynku, ukazał charakterystycznym wyrazem oblicza, wywołanym nagłym radosnem lub smutnem — przeważnie niespodzianem — wzruszeniem. Niektóre z tych nowel mogłyby znaleźć miejsce w „Dekameronie“. Ale nawet w najzuchwalszych autor umiał zżęcznie unikać stawiania kropek nad i.

TREŚĆ NUMERU 30-go.

Emilia Plater. Wacław Gąsiorowski.
Marzyciel. Władysław St. Reymont.
Atylla. A. Lange.
Ogród Allaha. Robert Hichens.
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie;
1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:

Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zybkiewicza. № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie

Na kobiercu ślubnym.



Marya Węgorz i Jan Sroka z Lubelskiego, którzy przed kilku laty wyemigrowali za morze i osiedli w Donora, Pa. Dziś ta młoda para żyje w dostatku i z niesmakiem wspomina twardej wiejski chleb w „starym kraju” i tytułują się Mister John and Mrs. Mary.

NEKROLOGIA.

Wspomnienie pośmiertne.

Ś. p. Aleksander Skirmunt umarł dnia 26 czerwca 1909 r. Nie tylko ci, co go znali osobiście, ale i ci, co o nim słyszeli, nauczyli się go czcić i szanować. Człowiek ten nie umarł jak zwykły śmiertelnik: praca jego pozostała przykładem dla każdego z nas. Obywatela kraju, a życie jego jasną gwiazdą dla każdego, co chowa w duszy nieskazitelną pocztę obywatelską. To też stoimy nad mogiłą człowieka, po stracie którego głęboko żal przejmujemy wszystkie myśli nasze, bośmy stracili drogą naszego przewodnika; on był światłem, za promieniami którego szedł niejedną, spełniając obowiązek święty obywatela polaka; on był dźwignią i podporą, tak niezbędną potrzebną słabszemu, tyle sił dodającą mocniejszym. Sądzę, że wszys-

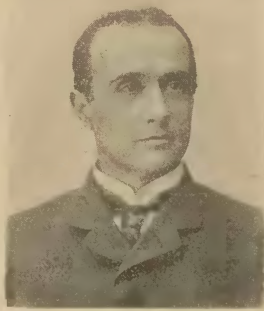
cy ci, którzy się zebrali dla oddania ostatniej posługi zmarłemu i ci, których w tej chwili tu niema, wdzięczni mi będą, jeśli w imieniu wszystkich wypowiem modlitwę do Wszechmocnego Boga, Najwyższego naszego Sędziego, prosząc Go o wynagrodzenie po trudach życia naszego wielkiego obywatela.

Pińsk.

Iwon Orda.

Ś. p. Ksawery Laskowski-Romankiewicz

urodził się w 1856 r. we wsi Podlipce w Galicyi. Kształcił się w szkołach lwowskich. Czuł zamięłowanie do sztuki, w 18 roku życia wstąpił na deski sceniczne występował na scenach lwowskich i prowincjonalnych teatrów w Galicyi. W 1891 roku przeniósł się na stały pobyt do Warszawy, gdzie przebył z górą trzydzieści lat na scenie, był pożytecznym pracownikiem, uczynnym kolegą. Zgon jego pozostawił głęboki żal pośród kolegów, towarzyszy pracy i przyjaciół. Pożyteczny pracownik, czynny i pilny pozostawił głęboki żal pośród kolegów i przyjaciół.



Odpowiedzi redakcyi.

Balladynie. Nadesłane utwory wróżą bardzo niewiele na przyszłość. Zakres duży — nie wystarczający dla sztuki.

P. Erazmowi K. Bajka p. t. „Wilcza sprawiedliwość” nie będzie drukowana w „Świecie”.

P. Karolowi Falkowskiemu. Violetta.

Ofiary, złożone w admin. „Świata”.

Dla Feliksa Westwałowicza.

A. Weyher ze Staszyna rb. 5.

Treść № 30 „Świata”, 1909 r.

Pod grozą czwartego rozbioru. (Z 10 ilustr.)

Stanisław Dziukowski.

Najogólniejsze zadania. (Z 1 ilustr.) *Ch.*

Projekt przekopania nowego ujścia Wierprza do Wisły. (Z 1 ilustr.) *H. Wiercieński.*

Erzytyk. *Ida Pilecka.*

Cwierć wieku pracy artystycznej. (Z 6 il.) *ab*

Dawna muzyka polska na kongresie międzynarodowym w Wiedniu. (Z 2 ilustr.) *Ch.*
O puchu marnym... (Z 2 il.) *Adolf Strzalecki.*
Muzeum Mickiewiczowskie. (Z 3 ilustr.) *W. Kosciakiewicz.*

Nasi przyjaciele we Francyi. (Z 1 ilustr.)

Miasto przyszłości. (Z 4 ilustr.) *St. Łaganowski.*

Na serwecie. *M. M. Poznański.*

Konkurs „Świata”.

Rewolucja w Persyi. (Z 7 ilustr.) *St.*

Z teatrów warszawskich. (Z 2 ilustr.) *S. K.*

Azef, Hekkelman i spółka... *E.*

Sprawa Landesen-Harting w Izbie francuskiej. (Z 1 ilustr.) *Lech.*

Madame Hanako. (Z 1 ilustr.) *St.*

Popis szkoły aplikacyjnej. (Z 1 ilustr.)

Z życia nowocześnie Japonii. (Z 2 ilustr.)

Tow. „Bratniej pomocy” słuchaczy politechniki we Lwowie.

Tow. literatów i dziennikarzy polskich w Kijowie. (Z 1 ilustr.) *K. Ł.*

Tow. kultury pol. w Aleksandrowie. (Z 1 il.) *n.*

Śmierć Mierzińskiego. (Z 1 ilustr.) *Wier.*

Nekrologia. (Z 1 ilustr.)

ODDZIELNE ILUSTRACYE.

Zmiana kanclerza Rzeszy niemieckiej (2 il.)

Pawilon „Świata” na Wyst. w Częstochowie.

Główny Komitet Wystawy Przemysłu i Rolnictwa w Częstochowie.

Pogrzeb ś. p. Heleny Modrzejewskiej.

Z życia kolonii polskich w Cesarstwie.

Wizytacja ks. bis. Cieplaka na Syberii.

Otwarcie uzdrowiska we Lwowie.

Ministerium dla Galicyi.

Mowy dom zdrowia w Warszawie.

Straż ogniowa w Wołominie.

„Na kobiercu ślubnym”.

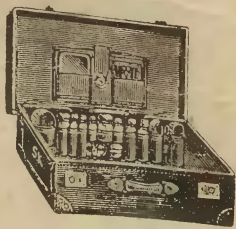
Opanowanie ognia.

Do numeru niniejszego dla prenumeratorów prowincjonalnych dołącza się prospekt „Salamandry”.

Opanowanie ognia.



Próba aparatu „Minimax” który momentalnie gasi największy pożar.

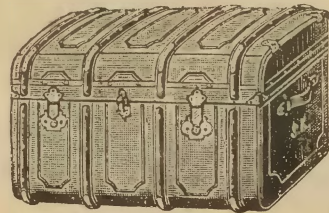


STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}

FABRYKA I MAGAZYN WSZELKICH PRZYPORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krak.-Przedm.)

JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



Mlle de Moissard

Mazowiecka 1. Tel. 114-29.

PRACOWNIA

Suknie Genre Tailleur
Suknie wizytowe
Suknie balowe.



E. Unierzyski

Chmielna № 3.

poleca Walizy, Kufry, Torby, Nessesery

CENY FABRYCZNE.

CIECHOCINEK willa ORMUZ

Zakład do leczenia mechanicznego gorąco-powietrznego i elektro-sświetlnego

D-ra Biesiekierskiego (chirurg).

Reumatyzm, artrytyzm, newralgie, ischias, lumbago; wysięki i zeszywnienia stawów; porażenia; niedowład kieszek i t. p.

Pensjonat „POD WISŁĄ”

Emilii Burzyńskiej
w KRYNICY.

Pokoje umeblowane z całodziennym utrzymaniem, pościelą i usługą w cenie 9 kor. wwyż. W III-cim sezonie ceny o 20% niższe.

Magazyn Zoologiczny G. Funk przy ulicy Brackiej № 8. Pięknie śpiewające kanarki, papugi gadające i t. p., rybki złote, akwarja, groty, rośliny, klatki w wielkim wyborze, żywność dla ryb i ptaków.



Karbolinum, lepek gasieniczny, Rokokost, Olej do palenia. ANTONI RAUCH Warszawa, Sio-Krzyska № 33, Telefon № 113 Smar do wozów oraz wszelkie smary i oleje do maszyn.

Przewodnik przemysłowo-handlowy.

Austria, Galicya i Poznań

MAGAZYN HENRYKA SCHWARZA

KRAKÓW GRODZKA № 13. Tel. 43.

Nowości na obecny sezon:
wełny, jedwabie, bawełna.

Gotowa konfekcja.

Kostiumy, okrycia, płaszcze, bluzki, halki, kapelusze,
rękawiczki. WŁASNE PRACOWNIE.

Pierwszorzędna Pracownia Sukien Męskich

Leona Grabowskiego właściciel firmy **Gabryel Grabowski**
w Krakowie, ulica Szpitalna L. 36. Telefon № 561.

KRAKÓW
NAJLEPSZE *Rudnickiego*
Josefa W MAGAZYNIE
Linia A-B 1.44. **RĘKAWICZKI**

Litwa i Ruś

Biuro melioracji rolnych

Warszawa, Foksal 14 tel. 115-02. Kraków, Długa 43.

Inżynier Stanisław Turczynowicz

wykłada melioracje rolne w Uniwersytecie w Krakowie.

Inżynier Antoni Ponikowski

b. inżynier Wydziału Krajowego w Galicyi.

Inżynier Wacław Trojanowski.

DOM BANKOWY

Dobiesław Mierzwiński i S^{ka}

Kijów, Kreszozatik № 27. Telefon 18-64.

Wykonuje wszelkie operacje wchodzące w zakres instytucji bankowych:
KUPNO I SPRZEDAŻ PAPIERÓW PROCENTOWYCH, POŻYCZKI POD
ZASTAW PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH, ASEKURACJE PREMIOWEK
i t. p. PRZEKAZY NA WIEN I LWÓW.

Hotel François, Kijów

Właściciel

F. Gołambek.

SKŁAD MASZYN I NARZĘDZI ROLNICZYCH

Tow. Henry Smith & Co — Kijów.

Parowe młockarnie, lokomobile-samochody i benzo-naftowe automobile-
samochody do młocki, orki i transportowania ciężarów

Marschall Synowie i C-o.

Naftowe motory ruchome i stałe fabryki „PETER” do młynów, pomp
i oświetlenia elektrycznego.

CUKIERNIA I RESTAURACJA

B.A. Semadeni

Kijów, Kreszozatik 15.

Wielka Wasilkowska 12.

WYTLÓMACZYŁ.

— Dlaczego pan się nie ożenił,

Wiesz pan, że żona ci dłużej żyje?

— E, nie, to tylko życie wydaje
im się dłuższe.

Zakład ZDROJOWO-KĄPIELOWY

RABKA

SOL'ANKA JODO-BROMOWA

Położona 500 — 530 metrów nad poziomem morza na pła-
skowzgórzu podkarpackim, w suchej, lesistej okolicy. Park 50
morgowy.

Wody rabczańskie znajdują bardzo obszerne zastosowanie
w różnorodnych cierpieniach, polegających na upośledzeniu prze-
miany materii i stanach zapalnych. Leczone tu bywają: Żółty,
gruźlica kości, okostnej i stawów, chroniczne zapalenia nosa, uszu
i gardła, reumatyzm stawowy, choroba angielska, tak wczesna,
jak późniejsza, rany proseracyjne trudno się gojące etc.

Najsilniejszy źródło jodo-bromowe w Austrii!

Wodociągi, kanalizacja, elektryczne oświetlenie.

Sezon trwa od 20 maja do końca września. Lekarz zakła-
dowy: Dr. E. Supiński.

Kolej w miejscu — 4 godziny jazdy od Krakowa.

Prospekty wysyła i wszelkich informacji udziela na żądanie

Zarząd.



BRYCZEK Amerykanów, Wolantów, Korsówek
Jesionowych, Machoniowych, lekkie,
małutkie, oraz Breki 6-osobowe, vis-à-vis, dwukółki, Najty-
czanki, Węgierki i t. p. **Największy wybór.** Fabryka
przyjmuje naprawy powozów, Bryczek, Furgonów
reklamowych i t. p. Wyrabia koła na żelaznych obręczach
od 30 rb. Koła gumowe od 90 rb. z wyłakierowaniem; przyjmuje obstalunki na
platformy, furgony reklamowe i t. p. **Ceny niskie.** Poleca

„WIENSKA FABRYKA POWOZÓW i BRYCZEK“
Szpitalna № 10.

Szczawnica

Dr. J. Kołaczkowski prowadzi od 20 lat **Pensyo-**

nat hidropatyczny, który się mieści w kilku willach po-

łożonych w oddzielnym 20 morg. **parku** z wystawą

całodzienną słoneczną i z lasiem świerkowym. Lecze-

nie nowożytnie wodą i elektrycznością przy pomocy wysz-

kolonej służby kąpielowej; zakład zasila woda źródłana

(+8½° R.), dalej kuracja terenowa powietrzna i słoneczna

oprócz picia wody mineralnej. Kuchnia renomowana i zdrowa.

CENY PRZYSTĘPNE.

Zarząd.

CUKIERKI
MONPENSIER

EINEM MOSKWA.

